

ALFRED ARDEN.

Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zas'rzeżone.

11

18 stycznia.

Uzyskałem już urlop. Iutro wieczór wyjeżdżamy do Benares. Dziś jeszcze gorączkowy dzień ostatnich przygotowywań do podróży. Wycieczka nasza liczy ostatecznie pięć osób, nie licząc brązowych „boyów”. Te pięć osób to Blanka, ja, profesor Van Gelle, mój zaufany służący Antonjo i młody Rumun Silvas. Ten ostatni to towarzysz Van Gelle'a. Napoły jego służący, napoły opiekun. Więcej nawet opiekun niż służący. Ma on obowiązek czuwać nad praktyczną stroną podróży Van Gelle'a. Płaci za niego wszystkie rachunki, zamawia hotele, troszczy się o bagaż i bilety w podróży, targuje się z krajowcami, towarzyszy mu w jego naukowych wycieczkach... Nosi za profesorem nietylko jego portfel, lecz nawet... papierosnice. Van Gelle twierdzi, że bez swego pupila nie potrafiłby się ruszyć ani kroku w Indiach. Wierzę mu bardzo. Jest on, jak to zwykle bywa u wielkich uczonych zupełnym dzieckiem, gdy chodzi o życiowe sprawy.

Dość dziwne są koleje ich wzajemnego poznania. Van Gelle zetknął się z młodym Rumunem w Rzymie, bawiąc tam przed rokiem w jakichś naukowych celach. Podczas jednej z podmiejskich wycieczek stłukł sobie okulary, bez których nie może się ruszyć i siedział bezradnie na jakimś kamieniu oczekując zmiłowania Bożego. Wyratował go z opresji Silvas, właśnie przechodzący obok. Występował on podówczas w cyrku jako akrobata. Jak się okazało wtedy z rozmowy pochodzi on ze starej rumuńskiej rodziny, w której cyrkowe rzemiosło od lat niepamiętnych drogą spadku przechodzi z ojca na syna. Ma pozatem dwóch braci również na cyrkowej arenie. Sam skończył wprawdzie gimnazjum, ale z różnych względów nie chce zerwać z swoim powołaniem. Van Gelle, wnioskując o jego dużej inteligencji z rozmowy, zaproponował mu wspólny wyjazd do Indji. Silvas zgodził się tem chętniej, że przy sposobności mógł się tu zapoznać z kuglarskimi sztuczkami fakirów, po których obiecywał sobie w swym zawodzie wiele.

Będziemy mieć z niego, jak się zdaje wspaniałego towarzysza podróży. Jest on niezrównany, gdy chodzi o rozmowy z krajowcami, których stanowczo przechytrzył i których „handlowe” sztuczki zdołał już przejrzeć na wylot. Nie zdarzyło się podobno dotąd, by zapłacił za cokolwiek w Indiach więcej niż jedną trzecią zażądanej ceny. Dlatego może krajowcy go bardzo szanują, idą mu na rękę i prześcigają się w ugrzeczniejszych usługach.

Pozatem chłop jest zbudowany pięknie jak Apollo i odznacza się niezwykłą siłą. Najtwardsze orzechy kruszy w dwóch palcach lekko, jak skorupę jaja. Doprawdy, że podczas wycieczek w głąb kraju, będziemy czuć się pod jego opieką bezpieczniej...

19 stycznia.

Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu, gdy Antonjo przyprowadził Hindusa, który ma nam przewodzić w podróży... Doskonały wybór zrobił chłopak — ani słowa! Pod każdym względem jest interesujący nasz kapłan! Dobrze zbudowany, wysoki, niezwykłe dostoyny w ruchach wygląda w swym białym zawoju conajmniej jak maharadża. Jak maharadża z bajki indyjskiej! Duże, czarne, głęboko osadzone oczy nadają jego pięknej i rasowej twarzy o niezmiernie klasycznym profilu, wyraz głębokiego uduchowienia, jakieś skupionej, żarliwej ekstazy. Mówi wolno, dobitnie, zupełnie czystym akcentem angielskim, jaki się rzadko spotyka między krajowcami w Indiach. Już w czasie krótkiej rozmowy przy zapoznaniu, mogliśmy się zorientować w bystrej inteligencji i szerokim wykształceniu, jakim rozporządza nasz nowy towarzysz podróży. Jest on skąpy w obietnicach, ale widać, że się orientuje znakomicie w tem, co nas może zainteresować w wędrówce po jego kraju.

— Indje nie mają dla mnie tajemnic — odpowiedział krótko na zapytanie Van Gelle'a. — Sądzę, że zdołam zadowolić panów.

Jedynie niewygodną rzeczą to skomplikowane nazwisko naszego Hindusa, którego nie jesteśmy w stanie spamiętać. Nazywam go tak jak moi brązowi boye: Rama-Joga, lub poprostu Ramą, co znaczy tyle, co nauczyciel, lub „mistrz” w naszej języku.

Ja i profesor jesteśmy zachwyceni przewodnikiem. Jedynie Blanka jest z niego niezadowolona. Nie podoba jej się głęboka, trójkątna zmarszczka, która fałduje mu czoło, nadając jego twarzy surowy, czasem wręcz niemły wyraz.

— Taka zmarszczka — mówi — cechuje złego człowieka. Nie mogę bez pewnego lęku dłużej spoglądać na Ramę...

O! zwykle przeczulenie kobiece i kaprys, z którym niepodobna się liczyć!...

7-ma wieczór.

Za dwie godziny odchodzi nasz pociąg. Tak miło się zapowiadała podróż! I pomyśleć, że właśnie w tej chwili musiano mi wręczyć to głupie, anonimowe piśmiśło, które na kilka godzin conajmniej popsuło mi humor. Znalezione je w puszcze do listów, zaadresowane do mnie. Otwarłem kopertę: wyleciała z niej kartka, na której były wypisane te słowa:

„Zaklinam pana na Boga, byś zechciał poniechać swej nierozsądnej podróży. Grozi wam niebezpieczeństwo, o którym nie możecie mieć nawet wyobrażenia. Sądję, że nie będzie pan tak dalece szalony, by dla głupiego upośu ryzykować życie pięciu osób. Więcej napisać nie mogę.

Nieznanym przyjaciel.

To wszystko. List pisany jest pismem niewyraźnym, chwiejnym, połamaniem, jakby kreśliła je ręka manjaka lub alkoholika, w ostatnim stadium nałogu. Nie jestem przesądny, z trudem poddaję się wrażeniom, a jednak list ten wytrącił mnie z równowagi duchowej. Doprawdy zawiele jest tych niespodzianek! Najpierw ta dziwna groźba w kawiarni, teraz ta anonimowa przestroga!... Tłómaczę sobie oczywiście wszystko: ten „miły” żartowniś z kawiarni prowadzi dalej swą „sympatyczną” zabawę. Dowiedział się o moim adresie i przesłał mi ten anonim. Napisał tak dziwnym charakte-

rem pisma celem zatarcia śladów za sobą. To proste. Niema się czem przejmować. Można ubolewać tylko nad autorem tego niefortunnego dowcipu...

A może to zresztą naprawdę jakiś obłąkany szaleniec, którego „idée fixe” przejawia się w ten dziwny sposób? W takim razie jest jeszcze mniej podstaw do niepokoju... Powtarzam sobie to od pierwszej chwili, a jednak nie mogę się pozbyć nader niemiłego wrażenia. Tak, tak, to moje nerwy! Od lat dziecinnych byłem już bardzo nerwowym...

Nie znoszę takich historii! Doprawdy! gdyby nie to, że wszystko już do podróży gotowe i że za dwie godziny musimy wyruszyć, kto wie czybym nie zrezygnował z tej podróży... Do licha!

Blance nie powiem oczywiście nic; ona jest tak przesadnie na takie rzeczy wrażliwa. Już ten wypadek w kawiarni wywarł na niej głębokie wrażenie. Widziałem to, choć starała się go ośmieszyć i zbagatelizować... Ciekawym tylko co o tem wszystkim powie nasz profesor. Oczekujemy go z każdą minutą...

W godzinę później.

Wyruszamy na dworzec. Zdołałem wreszcie znaleźć się w cztery oczy z Van Gelle'm. Pokazałem mu list. W odpowiedzi na to profesor wyciągnął zupełnie podobny z kieszeni. To samo pismo, treść ta sama. Naprawdę, ten „żart” zaczyna być bardziej niemiły, niż przypuszczałem przed chwilą.

Benares, 21 stycznia.

A więc od kilku dni jesteśmy w Benares. O „święte miasto!”, miasto uniesień pobożnych i fanatyzmów żarliwych, miasto religijnych orgii i szarów, miasto otchłannych nurtów ducha ludzkiego i przyziemnych form jego materialistycznych objawień, miasto strasznych opętań i rozszalałej ascezy! O jakże inne jesteś w swym rzeczywistym wcieleniu niż w blaskach tajemniczej legendy, która cię spowija. Jakże inne jesteś w egzotycznych roje- niach fantazji, niż w prozie codziennego obcowania z tobą!

Bo Benares to nietylko czarodziejski obraz, który wabi oko z przeciwnnej strony Gangesu, to nietylko zbiór pięknych, malowniczych świątyń i pałaców, fantastycznych ruin, przedziwnych posągów, to nietylko wschody i zachody słońca mieniające się tęczą w wodach „świętej rzeki”, to nietylko stubarne kłbowisko pobożnego tłumy i dziwne misterja spełnianych przez niego obrzędów.

Benares to również plugawe, niewygodne hotele, wstrętne jedzenie jakie w nich podają, ciasne i brudne uliczki, rozpaczliwe wonie, zatrute wyziewy, bijące z wszystkich rynsztoków, to smrodliwe studnie, z których wierni piją „świętą wodę”, to wstrętne storturowane, okaleczone ohydnie maskary „świętych” żebraków, straszących co krok Europejczyka... Jesteśmy tutaj już dni kilka i nie widzieliśmy właściwie nic nadto, co oglądać mogą czy „zwykłych śmiertelników”. Nic nadto, co pokazuje się przeciętnemu turyście wedle zdawna ustalonego programu...

Mamy o to nawet pretensje do Ramy. Ale on zamiast odpowiedzi uśmiecha się tajemniczo. Zdaje się, że chowa dla nas jakąś niespodziankę, z którą nie chce się narazę zdradzić...

Przypuszczam, że zdobędzie się na coś lepszego, niż ten fakir, którego nam dziś przyprowadził i którego w jednej chwili zdemaskował Silvas. Było to tak: siedzieliśmy w piątkę na hotelowym podwórzu, szukając przy fontannie ochłody przed rozpaczliwym upałem, który odstraszył nas od wycieczki nad Ganges, gdzie mieliśmy oglądać ceremonialną rozbijania czaszek nieboszczykom i palenia ich cielesnej powłoki. Rozmowa nie kleiła się... Mieliśmy wrażenie, że słońce wypija nam mózg z głowy...

Spostrzegł to Rama i chcąc nas rozerwać sprowadził nam fakira, który roztoczył przed oczyma naszymi repertuar swych klasycznych sztuczek. Więc najpierw taniec jadowitych węży... Widzieliśmy to już nieraz w Delhi... Nuda... Cóż w tem dziwnego, że kobra której wyrwano jadowite zęby nie gryzie?!... Potem polykanie ognia, przebijanie sobie szpilką dłoni... Znamy już podobne sztuczki z Europy... Wreszcie „clou” programu... Fakir zakupuje w żwir nasienie drzewa mangowego, które codopiero puściło dwa listki. Przykrywa je chustą, nad którą szepce tajemnicze zaklęcia, długą, długą chwilę... Potem podnosi ją... Wyrwa nam się tym razem okrzyk podziwu. Oto tam, gdzie przed chwilą było jeszcze ledwie rozpękłe nasienie, teraz zieleni się mangowe drzewko, osadzone silnie korzeniami w żwirze... Rama spogląda na nas ukradkiem z swym dziwnym, napoły drwiącym, napoły gorzkim uśmiechem, który mu jakby zaskrzepł w kącikach ust surowych zresztą w linji i twardych w zarysie. Chwyta, rzeczby można nam z twarzy wrażenia...

— Czy zadowoliliście państwa?! — pyta wreszcie, pewien już sukcesu.

— Co do mnie — wyrwa się nagle Silvas, — to uważam wszystkie popisy fakirów za kuglarską sztuczkę i podejmuję się natychmiast odtworzyć to, co widzieliśmy przed chwilą...

Widzę, jak Rama pobladł z lekka. Silvas bowiem jest wcale zręcznym prestidigitorem: w cyrku miał sposobność zapoznać się z popisami „czarodziejskich magów”.

W istocie odszukał on nasienie mangowe ukryte głęboko w żwirze przez fakira, z którego rzekomo miało się narodzić drzewko, błyszczące zielenią przed nami. Za chwilę powtórzył „cud” fakira, z mniejszą oczywiście wprawą, nie zdoławszy tak dobrze zasugerować widzów, ale i tak dowiódł niezbicie, że w tem wszystkim niema nic „nadnaturalnego”... Fakir widząc to ulotnił się niespodziewanie, nie żądając nawet za swoje produkcje zapłaty,

— Co pan sądzi o tem? — zwrócił się w stronę Ramy Silvas z bezczelnie drwiącym uśmiechem. — Po kilku miesiącach ćwiczenia mógłbym być niezgorszym fakirem i pomalowawszy twarz na brązowo „olśniewać” głupich Europejczyków...

— Jeżeli wszystko „tajemnicze” w Indiach — wtrąciłem — podobne jest do tej sztuczki fakira, to sądję, że spotkał nas zawód...

— Oh! — powiedział Van Gelle — jest rzeczą w nauce stwierdzoną, że wszystkie „cuda” fakirów polegają na kuglarskich sztuczkach, wydoskonalonych do najdalszych granic...

— Czy wszystkie?! odezwał się nagle Rama z jakimś dziwnym błyskiem w swych czarnych, głębokich oczach. — Podejmuję się pokazać jutro państwu „cud” fakira, którego nawet pan profesor nie potrafi wyjaśnić żadną z naukowych hipotez i wobec którego pan Silvas będzie jak bezradne dziecko!

(Ciąg dalszy nastąpi).